№ 28. Warszawa, 16 Lipca 1909 roku. Rok II.

# SPOŁECZEŃSTWO

TYGODNIK NAUKOWO-LITERACKI, SPOŁECZNY i POLITYCZNY.

**PRENUMERATA w Warszawie**: z odnoszeniem do domu rocznie rb. 7 k. 60, Kwartalnie rb. 1 k. 90, Miesięcznie k. 65. Numer pojedyńczy — kop. 15. **Z przesyłką pocztową**: Rocznie rb. 9, Kwart. rb. 2 k. 25. Za zmianę adresu k. 20.

„SPOŁECZEŃSTWO" wychodzi co piątek

Adres Red. i Administracji **Żórawia 29 m. 2. Tel. 116-67.**

OGŁOSZENIA po kop. 15 za wiersz petitu. REKLAMY po tekście kop. 30 za wiersz petitu. NADESŁANE na 1 stronicy przed tekstem po kop. 50 za wiersz.

Administracja otwarta od 10—2 i od 4—7, prócz świąt. W interesach redakcyjnych porozumiewać się można w soboty i wtorki od g. 2 — 3 po południu. Drobnych rękopisów nie zwraca się.

**TREŚĆ NUMERU:**





**Wobec kończącego się kwartału prosimy Szanow. Prenumeratorów o odnowienie przedpłaty na kwartał III i półrocze II.**

## REALIZM NARODOWEJ DEMOKRACJI.

P. R. Dmowski znów poczynił wynurzenia polityczne,*) które poniekąd uchodzić mogą za „profession de foi" b. prezesa Koła Polskiego. Nowem w tych wynurzeniach jest tylko to, że autor potwierdza obecnie wszystko co mu przez długi czas zarzucano, a czemu systematycznie zaprzeczali jego polityczni zwolennicy.

Pozatem jednak są to rzeczy zgoła nie nowe, o których wiele się mówiło, które nie raz bywały już powodem gorącej wymiany zdań we wszystkich obozach politycznych, a które nigdy nie świadczyły o przenikliwości przedstawicielstwa polskiego.

Rozumowanie p. Dmowskiego jest konsekwentnie przeprowadzone. Lecz przesłanki, na których oparł się autor w tym wypadku, są z natury fałszywe.

Przedewszystkiem więc p. Dmowski uważa, że stronnictwo konstytucyjne, z którem polacy współdziałać by mogli — kadeci są „nieodwołanie pobici", i „że od powrotu na drogę dawnego bezprawia" mogą ocalić „tylko październikowcy". Przytem autor nie zapomina że „październikowcy są centralistami, że zaakceptowali nacjonalizm Stołypina", lecz nie zapomina również o tem „że prędzej czy później życie dowiedzie, iż ustrój prawny w Rosji, jej odnowienie nie jest możliwe na zasadach jednostajności urządzań państwowych, w duchu nacjonalizmu rosyjskiego".

Twierdzenie, że kadeci (o innych stronnictwach konstytucyjnych w tej chwili przemilczymy) są nieodwołalnie pobici zostało przytoczone przez p. Dmowskiego w tym celu, by dowieść słuszności i racji sojuszu z reakcyjną kliką październikowców. Kto stał się o tyle realistą, że spodziewa się konstytucji z łaski „force majeur", — oczywiście musi uważać minioną niedawno epokę za przykre nieporozumienie. Dla

*) „Przegląd Narodowy", numer czerwcowy.

mniej praktycznych polityków jasnem jest, że społeczeństwo rosyjskie przeszło zbyt głęboką ewolucję w ostatniej dobie, by mogło wyrzec się zasady prawa, jako podstawy swego bytu, że wpływy żywiołów konstytucyjnych były zbyt wielkie, by uważane być mogły za nienaturalne lub znikome. Dlatego też p. Dmowski zbyt nieostrożnie i lekkomyślnie przesądza fakty. Być może, że podobnie jak obecnie uznał kadetów za nieodwołalnie pobitych, uzna również w przyszłości październikowców za ludzi umarłych, by módz bez skrupułów oprzeć się na ramieniu silniejszego.

Wszędzie istnieli ludzie, należący do gatunku płazów politycznych, którzy przedwcześnie starali się przystosowywać do warunków. Są to ludzie, którzy dopóty bronią swych zasad, dopóki stoją po za niemi silne grupy społeczne, gotowe poprzeć ich dążenia. Z chwilą jednak, kiedy wskutek nieszczęśliwych okoliczności grupy te tracą poprzednią siłę i władzę, ludzie ci zwijają szybko swoją chorągiewkę i przechodzą na stronę nowych panujących grup. Dlatego też polacy w pierwszej i drugiej Dumie nie wyrzekali się swych haseł, w trzeciej zaś „nie mogli już walczyć o konstytucję rosyjską, ani o autonomję Królestwa, bo byłaby to walka o sprawę stanowczo przegraną" (str. 655 Przeg. Nar.).

W języku realnych polityków taktyka taka oznacza „trzeźwość" i „rozum polityczny"...

Chcąc usprawiedliwić sojusz z partją „ostatniego, lub zgubionego cyrkularza" p. Dmowski musi ją idealizować i podnosić z konstytucyjnego upadku—uważa więc, że tylko październikowcy uniemożliwić mogą powrót na drogę dawnego bezprawia.

Konstytucjonalizm październikowców jest przedmiotem wiary b. prezesa Koła i oczywiście swego kategorycznego oświadczenia żadnemi dowodami poprzeć nie jest w stanie.

W rzeczywistości żadna z istniejących partji oprócz skrajnej prawicy nie prowadziła bardziej serwilistycznej polityki, niż październikowcy, niktbardziej niż oni nie przyczyniał się do „powrotu na drogę dawnego bezprawia". Twierdzenie p. Dmowskiego, że rozdźwięk z prawicą popchnie ich na drogę prawa—byłoby słuszne w tym wypadku, gdyby w społeczeństwie istniała zwarta siła konstytucyjna, któraby ograniczała władzę skrajnej prawicy i zmniejszała zależność październikowców od sfer kierujących. Dopóki zaś tej siły niema, dopóty nie zdobędą się oni na obronę tego prawa.

Zresztą stronnictwo to nie jest jednolite w swoim składzie. Reprezentując sfery agrarjuszów, wielkich przemysłowców i kastę wyższych urzędników—partja ta zdobyć się nie może na obronę określonych interesów, lecz musi godzić odrębne dążenia różnych kół społecznych. Najmniejszy zwrot ku polityce liberalnej doprowadzić musi do przesilenia wewnętrznego, które przesunie partję w stronę zdecydowanych zwolenników „dawnego bezprawia". Pozostanie na poprzedniem stanowisku zaledwie garstka ludzi, reprezentujących koła wielkich przemysłowców. Dla skutecznej obrony swoich interesów — poczną oni dążyć do utrwalenia „wązkiej zasady prawa". Lecz nastąpi to dopiero wówczas, kiedy zwolennicy „szerokiej zasady prawa" ukażą się na scenie politycznej w roli partji rządzącej.

Wielce umiarkowany liberalizm tych kół odpowiada najwidoczniej aspiracjom p. Dmowskiego, zaś całe Koło polskie idąc za wskazaniami swego byłego prezesa już dziś przyczepione zostało do rydwanu październikowców, który tymczasem toczy się po linji najmniejszego oporu w stronę zdecydowanej i niezamaskowanej reakcji.

Tak wygląda realizm Narodowej Demokracji.

*Henryk Lukrec.*

## NA WIDNOKRĘGU POLITYCZNYM.

### DZIEJE PARLAMENTARYZMU.

D u m a p r z y j ę ł a p r e l i m i n a r z b u d ż e t u i udała się na spoczynek. W Europie okres wakacji jest okresem rozrachunku, deputowani zdają sprawę przed swemi wyborcami z mandatu, im powierzonego. Okres wakacyjny jest przeto okresem ścierania się programów i poglądów taktycznych, deputowani stykają się bliżej z opinją sfer wyborczych i często bardzo zmuszeni są po powrocie na trybunę parlamentarną zmienić swój stosunek do rządów przedwakacyjnych. Inne położenie posłów do Dumy. Nie otrzymali oni mandatów od masy wyborczej i dlatego nie mają potrzeby zdawać nikomu sprawy z tego, jak się z mandatu wywiązali, z wyjątkiem rządu, któremu też dowiedli swoją wdzięczność uległością i gotowością do wszystkiego, czego od nich zażąda. W dziejach rozwoju politycznego Rosji trzecia Duma conajwyżej zapisała się ujemnie, brak jej bowiem zasadniczej cechy instytucji przedstawicielstwa ludowego—brak poczucia władzy. Trzecia Duma nietylko nie czuła swego obowiązku panowania, obowiązku, wynikającego z samej idei przedstawicielstwa, ale brakło jej pragnienia władzy, chociażby ograniczonej. Owszem, większość Dumy czyniła nieustanne usiłowania, aby dowieść swej zupełnej nieużyteczności. I dowiodła. Rozwój instytucji politycznych Rosji, jeśli będzie nadal postępował, to pomimo Dumy.

P a r l a m e n t n i e m i e c k i przeżywa wielkie historycznej wagi dni. Reforma finansowa—inaczej mówiąc, projekt zdobycia 500 miljonów marek, niezbędnych państwu dla sprostania rosnącym potrzebom zbrojenia, stanął w końcu na ostrzu noża. Od roku odbywają się targi, pertraktacje w komisjach i gabinetach mężów stanu, wreszcie nastąpił moment wyprowadzenia sprawy na trybunę parlamentu. Okazało się jednak, że dowód uległości rządowi dali tylko liberałowie, junkrowie zaś ani myślą ustąpić ze swego nieprzejednanego stanowiska. Projekt rządowy czerpie 400 miljonów z podatków pośrednich, powiększając podatek na piwo, tytoń, zapałki i temu podobne przedmioty użytku szerokich warstw ludności, 100 miljonów zaś, z podatku bezpośredniego, nakładając podatek na niektóre tranzakcje handlowe oraz na spadki. Na te ostatnie przypada około 60 miljonów. I otóż przeciwko temu podatkowi powstali z całą zajadłością zachowawczy junkrowie, którzy nie mogą się pogodzić z myślą ponoszenia urzędów okrzyczanego przez nich patrjotyzmu. Przez tyle lat rządzili oni krajem, głosząc wielkość ojczyzny i obowiązek składania ofiar na jej ołtarzu, ale nigdy nie spodziewali się, że może zajść potrzeba zapłacić ra-

chunek tego patrjotyzmu. Do obszarników przyłączyło się katolickie centrum, tworząc w ten sposób większość przeciwną projektowi rządowemu. I oto kanclerz Bülow znalazł się w kłopocie: do kogo się zwrócić? Pielęgnowany przez niego blok zachowawczo liberalny rozpadł się w gruzy, z chwilą gdy w grę weszły interesy materjalne. Liberałowie poczynili wszystkie możliwe i niemożliwe ustępstwa, zrzekli się rozszerzenia praw konstytucyjnych parlamentu, zgodzili się na cały szereg uciążliwych dla handlu i przemysłu podatków, wszakże nie mogą, pod groźbą utracenia ostatnich swych zwolenników w kraju, zgodzić się na całkowite uwolnienie obszarników od ciężaru budżetowego. Socjaliści zaś w osobie swego przywódcy Singera oświadczyli, iż za pierwszy warunek głosowania za budżetem uważają reformę wyborczą do sejmu pruskiego i rozszerzenie praw parlamentu. Próżno tedy odwoływał się Bülow do wszystkich partji parlamentarnych, dając do zrozumienia, iż gotów jest wejść w układy z każdem stronnictwem, byleby tylko przeprowadzić tą naglącą sprawę; jednak socjalistów zapewnił, iż gotów jest obdarzyć ich łaską rządu, jeśli odrzucą swe nieprzejednanie i, za przykładem socjalistów francuskich, zechcą zrozumieć konieczność państwową. Kanclerzowi odpowiedziało jego własne echo—izba została głuchą na jego wołanie.

Cóż tedy pozostaje rządowi? Budżet—jedyna podstawa władzy parlamentu niemieckiego staje się punktem wyjścia olbrzymiego przesilenia politycznego. Jeśli bowiem rząd ulegnie większości katolicko-obszarniczej i złoży cały ciężar nowych podatków na barki handlu i szerokich warstw ludności, zdobędzie on wprawdzie uchwałę budżetu, ale wywoła w całym kraju i już nietylko w niższych, ale i w średnich warstwach gwałtowny wybuch oburzenia. Będzie to krok obliczony na krótką metę, historja dotychczasowych rządów bowiem dowiodła, że w kraju tak uprzemysłowionym jak Niemcy, niepodobna rządzić pomimo stronnictw reprezentujących handel i przemysł. A czegóż nie mógł dokonać Bismark, tem mniej potrafi Bülow. Będzie to w każdym razie bankructwo władzy, która ulegnie większości parlamentarnej i tem samem uzna jej przewagę. Ale Bülow może rozwiązać parlament i wyznaczyć nowe wybory. To jednak, najmniej prawdopodobne wyjście, spowoduje niebywałe dotychczas zwycięstwo socjalistów, tembardziej ułatwione, wobec zatargu klas rządzących.

Byłoby to rozniecenie w najkrytyczniejszej chwili gwałtownej walki pomiędzy władzą osobistą, a władzą ludu, na co rząd niezawodnie się nie odważy. Wreszcie, może Bülow, jeśli zechce pozostać wierny głoszonym przez się zasadom umiarkowanego liberalizmu—podać się do dymisji, wszakże byłby to precedens niebezpieczny dla władzy osobistej, wprowadziłby bowiem odpowiedzialność kanclerza przed izbą, przeciwko której nieustannie walczył. Oto główne zarysy kryzysu, z którego parlament musiałby wyjść zwycięsko, gdyby stronnictwo burżuazyjne miało w sobie trochę więcej sił życiowych, gdyby cokolwiek pragnęło władzy. Tego jednak brak burżuazji niemieckiej.

---

Wybory do parlamentu holenderskiego odbyły się w tych dniach i zakończyły się zwycięstwem lewicy. Parlament w Holandji posiada pełnię władzy, ministrowie bowiem są odpowiedzialni przed parlamentem. Wszakże poprzedni parlament nie potrafił wyzyskać swej władzy, nie posiadając imponującej większości ani na prawicy ani na lewicy. W rozmaitych kwestjach porządku dziennego izba dzieliła się na 2 prawie równe obozy, uniemożliwiając rządom bądź reakcyjnym bądź liberalnym przeprowadzanie reform. Wreszcie rządowi prawicowemu, który zapewnił sobie poparcie siedmiu „starych liberałów“ udało się przeprowadzić prawo o udzielaniu zapomóg prywatnym szkołom średnim. Było to jedyne prawo, przeprowadzone przez ten ogarnięty niemocą parlament.

Wybory obecne odbyły się pod hasłem dwóch pierwszorzędnej wagi reform: reformy wyborczej i prawa o emeryturach państwowych na starość i na wypadek nieudolności. Co do reformy wyborczej, posiada ona przeciwko sobie całą prawicę, złożoną z katolików, antirewolucjonistów (czyli zwolenników silnej władzy) wreszcie „chrześcjan historycznych“, czyli nacjonalistów. Na lewicy znajdujemy „starych liberałów“, którzy „w zasadzie“ są za reformą wyborczą, oraz stronnictwa, które reformę wpisały do swych programów, jak: liberalne, postępowe i socjalistyczne. Co do emerytur, to wszystkie niemal stronnictwa mają je w swoich programach, ale każde rozumie na swój sposób. Ale podczas, gdy prawica zawarła sojusz wyborczy i wszędzie występuje zwartym murem przeciw lewicy, ta ostatnia jest rozproszona na drobne odłamy i zostaje pobitą nawet tam, gdzie posiada większość faktyczną. Niemniej jednak wyszła lewica z wyborów tych zwycięsko i należy się spodziewać, że uczyni krok w kierunku prawdziwego parlamentu ludowego. Socjalistów jest w parlamencie holenderskim 11 na ogólną liczbę posłów 125.

---

Parlament hiszpański będzie miał rzadką okazję zastosowania istniejącego w tym kraju prawa, uwalniającego od wszelkiej kary przestępcę z chwilą, gdy został wybrany — na posła do izby.

Prawem tem posługują się czasami anarchiści hiszpańscy, którzy, nie głosując z zasady, niemniej wystawiają i przeprowadzają do izby swoich kandydatów, wydzierając ich w ten sposób z rąk sprawiedliwości rządowej. Obecnie chwycili się tego środka republikanie. Główna sprawa del Reala, który oskarżył rząd o szaleństwo przy budowie floty, zakończyła się uwięzieniem del Reala pod pretekstem jakoby przez niego dokonanej zdrady stanu. Del Real wobec tego zrzekł się wszelkich wyjaśnień, przygotowując się do obrony przed parlamentem, którego najniezawodniej zostanie członkiem. W chwili obecnej trzydzieści tysięcy wyborców podpisało petycję żądającą możliwie szybkiego wyznaczenia wyborów. W Prusach, jak wiadomo prawo to nie istnieje, i mandat posła nie uwolnił Liebknechta z więzienia, które odsiadywał za przestępstwo nie kryminalne, lecz polityczne.

---

Parlament turecki również nie chce posiadać zbyt wiele władzy. Bądź obawiając się korupcji, bądź nie wierząc w swe siły, bądź wreszcie ustępując przed naciskiem zdecydowanych monarchistów. Pewna część posłów głosowała przeciwko utworzeniu wiceministrów z pośród członków parlamentu. Artykuł odnośny został przyjęty większością 108 głosów przeciwko 75, wszakże dla zmiany konstytucji wymagana jest większość $^2/_3$, przeto prawo odnośne w gruncie rzeczy nie zostało przyjęte. Są przypuszczenia, iż radykali tureccy głosowali przeciw projektowi, widząc w nim raczej uszczuplenie praw parlamentu, chcą oni bowiem przeprowadzić systematyczną parlamentaryzację rządu drogą obyczajową, prawo zaś o wiceministrach parlamentarnych sankcjonuje niejako dobór ministrów z pośród urzędników.

*Almar.*

---

## STAJNIA AUGJASZA.

Od dosyć dawnego czasu, cały świat literacki jest świadkiem ciężkiej i bolesnej walki, wprawdzie na pióra jedynie niemniej, jednak uporczywej i bezlitosnej.

Jeżeli rezultatem tej walki, nie jest śmierć moralna kogokolwiek z walczących to bynajmniej nie jest wina jego przeciwników. Wszyscy nie przebierają w środkach, śmiało można powiedzieć, że celem całej falangi walczących chunchuzów naszej literackiej Polski, a właściwie jej pewnej, a wielce charakterystycznej części, jest uśmiercenie tego, który jak to p. Bełcikowski mówi w swojej broszurze „rozbestwił dusze". Mowa tu o nieszczęsnej polemice, która powstała z racji piątego wydania „współczesnej literatury Polskiej" Feldmana.

Trzeba przyznać wrogom p. Feldmana, że są bardzo cierpliwi. Bo chociaż wszystko to, co zostało napisane w ostatnich kilkunastu miesiącach czuli oddawna, mimo to czekali, aż książka p. Feldmana wyjdzie w piątem wydaniu. Czemu to warto zapytać przy jej ukazaniu się nie rozdzierano szat swoich nad nieszczęsną ojczyzną — jak teraz? Przeciwnie: pan Gomulicki obecny nieprzyjaciel w Nr. 36 „Kraju" z roku 1904 wysyła pod adresem p. Feldmana komplimenty, a ten sam p. Gomulicki w pięć lat potem w tem samem piśmie, z racji tej samej książki po staropolsku zadaje mu bobu. Czy p. Gomulicki ma tak krótką pamięć, czy tak szczególnego rodzaju uczciwość, która mu pozwala bez troski zmieniać zapatrywania? Ja nie wiem, bom się nad istotą p. Gomulickiego nigdy nie zastanawiał. Mówię to bez obawy, wiedząc, że p. Gomulicki potrafi to ocenić — sam bowiem przyznaje w Nr. 2 „Kraju" r. b. że nie zna „dostatecznie" Kasprowicza. Poważny krytyk literacki i poeta nie zna... Kasprowicza — co za fatalne wychowanie!... Doprawdy szczerość p. G. wzrusza i rozrzewnia nawet tych, którzy mają prawo nie przebaczyć mu tej niebywałej w cywilizowanem społeczeństwie ignorancji! Lecz mniejsza o pana Gomulickiego! Pierwszy skrzypek orkiestry wygrywającej od kilkunastu miesięcy znaną w Polsce symfonię o nieszanowaniu cudzej pracy i J. W. prywacie snobów zamierającego pokolenia zapomniał także o swoich flirtach z „Prawdą" w swoim czasie. Nie urodził się jako umarły, umarł jednak dla tych, którzy polskość i uczciwość inaczej rozumieją, a na „ideały narodowe w powieściach Choińskiego — plują bez najmniejszego skrupułu!" Dziś zasilając „Kraj" pogadankami z przeproszeniem literackiemi, od których, aż wieje zaraza najczarniejszego wstecznictwa, wystawia sobie takie świadectwo, wobec którego trudno brać w rachubę jego filipiki stylistyczne. Kto jednak pragnie w całej okazałości zobaczyć duszę zacnego człowieka i godnego szacunku literata, niech przeczyta Nr. Nr. 8 i 10 „Kraju" r. b. Tam zobaczy jak na welinie agrarjuszów kijowskich rozpościerają się złote myśli p. Gomulickiego. Jakto radzi p. Kotarbińskiemu rzucić do „śmietnika modernistyczną zgniliznę" lub sławi bohaterskie czyny p. Rabskiego, który również na straży „ideałów narodowych" „podcina skrzydełka młodym geniuszkom". Brawo panie Gomulicki! Za tę serdeczną aprobatę kabotynizmu dziennikarskiego rozpartego na miljonach żydowskiej burżuazji należy ci się z pańskiego stołu serek, abyś sobie dowcip jeszcze bardziej zaostrzył. Obrońca „ideałów narodowych" wykazałeś nową troskliwość o owe *sanctuarium* zagrożone przez, „geniuszków", które według twego mniemania za wszelkie zasługi położone dla ojczyzny, należy się tobie — i takim jak ty poetom... z Konopi!

Są ludzie o tak zdecydowanej powiedzmy indywidualności, że niepodobna mieć w stosunku do nich jakiegokolwiek złudzenia. Do takich właśnie należą najwięksi wrogowie p. Feldmana i feldmanizmu, który się podobno narodził. P. P. Choiński, Gomulicki, Rosner, Laskowski, Bełcikowski i inni wśród których spotykamy nazwisko Żuławskiego będącego obecnie w bliższym kontakcie z „Kurjerem Warszawskim". Każdy z nich siłą ciążenia, przechyla się w tę stronę gdzie mniej się wymaga smaku, a więcej jest pieniędzy do rozporządzenia. O tem wiemy tak samo dobrze — jak i p. Weyssenhoff który pisząc w „Tygodniku Illustrowanym" o „Fryderyku Klejnocie" wspomina jednak coś, o kamienicy i dobrobytach. P. Feldman należy do młodej literatury i tę literaturę miał w troskliwej opiece, ceniąc w niej żywotność wyzwalających się talentów. Nie „geniuszkom" należy zarzucać troskliwość o byt materjalny, lecz tym właśnie, którzy w imię „brzęczących ideałów" „podcinają im skrzydełka" — zamieniając dla przyzwoitości „brzęczące" na „narodowe". — Słowo o magicznem znaczeniu otwierające duchowe sezamy mieszczańskich parobków! Bezwstydna ta hałastra na których analfabetyzmie i chamstwie duchowem, opiera się egzystencja takich „twórców" jak pp. Rosner i Gomulicki — oblewa pomyjami najszlachetniejsze i najczystsze dusze. Mieliśmy przykład niedawno, kiedy to cała psiarnia reakcyjnej Polski rzuciła się na Żeromskiego za „Dzieje Grzechu" a p. Rosner w „Czasie"—inkryminował mu z oburzającą bezczelnością apoteozę kradzieży i morderstwa! Tacy to ludzie wytoczyli przeciw p. Feldmanowi najcięższe armaty, w imię „narodowych ideałów" — Można się z p. Feldmanem, pod wieloma względami nie zgodzić, nie podobna jednak nie uznać jego pracy, miłości sztuki i talentu.

Istotnie fatalna omyłka p. Feldmana w niepoznaniu wiersza Słowackiego, nie jest w istocie tak straszliwą, gdy się głębiej spojrzy za kulisy roboty redakcyjnej.

Nie mniejsze przestępstwa czynił bóg stańczyków krakowskich . hr. Tarnowski, a nikt nie spieszył w imię „czystości ideałów sztuki" — obrabować go z czci i całą pracę długoletnią w błoto rzucić. Zacny starzec zamykając przed kilkunastu miesiącami „Historję literatury polskiej" *zapomniał* o Norwidzie. Ten sam p. Tarnowski o Żeromskim wyraża się, że „nie jest bez talentu". Co za wyszukana uprzejmość, ze strony pana hrabiego, który obdarłszy za życia Wyspiańskiego ze skóry po jego śmierci paradował w kontuszu za trumną!

Wobec tego widzimy, że przeciwnicy p. Feldmana mają właściwie, jeden dla nich rzecz naturalna najważniejszy argument. Pan Gomulicki jako *enfant terrible* — zacnej spółki, pospiesza z wyjaśnieniem. Oto p. Feldman jest żydem i jako taki nie ma prawa zabierać głosu w kwestji tak rdzennie polskiej jak literatura. Nie odczuwa bowiem „ducha narodu" i to w takich wieszczach jak pp. Choiński, Gomulicki lub p. Bełcikowski! Lecz czemu to w proteście przeciw brutalnej nieprzebierającej w środkach nagance na p. Feldmana znajdują się najpiękniejsze nazwiska współczesnej literatury? To chyba dowodzi, że samosąd p.p. Rosnera i Bełcikowskiego, nie jest wyrazem opinji całej polski literackiej, lecz zaledwie części tych czarnych nietoperzy, którzy w chwili dławiącej reakcji podnieśli głowy do góry — aby wypleniać „kramołę" u siebie.

W liście otwartym do p. Feldmana p. Tetmajer pisze, że kiedy w Zakopanem zakładano towarzystwo literatów, komitet nie zaprosił p. Feldmana nie chcąc go mieć w swojem gronie. Ci wszyscy jednak, co ów komitet składali z wyjątkiem jednego p. Żuławskiego protest przeciw nagance podpisali. Widzimy więc Gustawa Daniłowskiego, Jana Kasprowicza, Władysława Orkana, Wacława Sieroszewskiego, Stefana Żeromskiego a dalej: T. T. Jeża, Tadeusza Dąbrowskiego, Ignacego Matuszewskiego, Leopolda Stafa, Gabrylę Zapolską, Stanisława Przybyszewskiego i wielu

innych, razem nazwisk 43. Czy wobec tego *ogół* (jak gdzieś napisano) literatów polskich podziela zdanie „rozbestwionego" p. Bełcikowskiego, czci — godnego p. Gomulickiego lub pogromszczyka. „Czasu" p. Rosnera, czy też cała naganka prowadzona forsownie przeciw p. Feldmanowi, jest tylko robotą czarnej kliki kabotynów więdnącego pokolenia, u której p. Bełcikowski znalazł oparcie dla swego dyletantyzmu myślowego.

Sprawa jest dosyć jasna! Czytamy jednak w obronie p. Tetmajera, takie epitety pod adresem p. Feldmana, że zaczynamy się dziwić czemu to ton polemiki p. Tetmajera nie odróżnia się w niczem od tonu zarzutów p. Feldmana, na jaki się słusznie oburza. Bo czyż istotnie p. Tetmajer został tak *niespodziewanie* napadnięty w styczniowym numerze Krytyki?... Wszakże wspomina coś o liście *nie do przytoczenia*. Taksamo jasnem jest, że za napisanie recenzji przez p. Stena o „Rewolncji" w piśmie p. Feldmana p. Tetmajer jednego i drugiego „wpakował" do „króla Andrzeja" ośmieszając w tak niesmaczny i niewyszukany sposób, że ogarniało przykre zdumienie każdego widzącego dowód takiej niegodnej gentlemena obrony! P. Tetmajer jednak w dalszym ciągu swej broszury dziwi się domyślności p. Feldmana, który w Pfefeldmanie poznał siebie! Na litość! — wszakże p. Tetmajer nie będzie chyba utrzymywał, że nie poznałby siebie w nazwisku Pfekazimierz — Tetmajer? Mówić w podobnych okolicznościach o stoliku i nożycach jest cynizmem tym większym, że p. Tetmajer oburzony niesprawiedliwością krytyki p. Stena i tendencyjnemu pośpiechowi w jej drukowaniu, pisze paszkwil literacki strojąc się potem w togę znieważonego Rzymianina!

Sąd honorowy, który ledwie zwołany w tej sprawie rozstrzygnie w jakim stopniu obaj przeciwnicy ulegli egzaltacji. Pan Feldman zagalopował się zbyt wyraźnie pisząc jak to przed nim p. Tetmajer „czapkował". Nie podobna w to uwierzyć, taksamo jak trudno się zgodzić z p. Tetmajerem, aby załatwianie osobistych porachunków w powieści były godne — artysty.

Dzisiaj jednak należy zaznaczyć brudne coraz brudniejsze tło, jakie przybiera ta polemika. Sam fakt, że przeciw p. Feldmanowi występują ciemne żywioły naszej prawicy literackiej, dowodzi, że tu nie o wartość estetyczną pracy p. Feldmana idzie, lecz o to, co ukryte za czarnym parawanem obskarantyzmu czaiło się od dosyć dawna, nie mogło wypełznąć na światło. Dziś znów „stara gwardja" nabiera animuszu. Panowie Gomuliccy, Choińscy, Rosnery oraz inni wolnonajemni — z pod tego sztandaru — zrozumieli, że nadeszła powracająca fala reakcji. Jeszcze mogą przed ostatecznym zgonem narobić zamieszania w imię „narodowych ideałów" — i zagrożonej ojczyzny.

Biedna ojczyzna! — Jakże mi jej żal serdecznie, że się już tacy nawet do jej obrońców przyznają!

*Stefan Kiedrzyński.*

---

# ECHA.

Wizytacja biskupa w Uściługu gubernji Wołyńskiej dnia 29-go czerwca.

Z Uściługa na Wołyniu piszą do nas;

W cichem naszem ustroniu zakipiało nagle strasznem oburzeniem wywołanem obrażającem zachowaniem się ks. Sufragana Karasia, wizytującego swą djecezję w zastępstwie biskupa Łucko-Żytomierskiego, Niedziałkowskiego. Parafja tutejsza biedna, licząca zaledwie parę zamożniejszych dworów w okolicy, nie mogła się zdobyć na przyjęcie biskupa, równające się świetności innym, bogatszym. Pomimo to, mieszczanie Uściługa, wraz ze swoim proboszczem, nie prosząc o pomoc nikogo, własną, mozolną pracą i po części kosztem, tydzień cały gotowali się do przyjęcia „dostojnego gościa". Kilkaset łokci wieńców uwito, a także wieniec dla dzieci, którym miano otoczyć biskupa. Chorągiewki do ubrania bramy, napis powitalny na bramie: „Witaj pasterzu nasz", tron dla biskupa, przygotowane były z wielkiem staraniem, ręką osoby zajętej pracą panny Mar..., która bezinteresownie z całą gorliwością poświęciła swój czas przyczyniając się do uświetnienia uroczystości. Drogę prowadzącą od tryumfalnej bramy do samego kościoła wysadzono młodemi brzózkami, posypano tatarakiem... Słowem, pomimo braku wszelkich organizacji i komitetów obradujących, cała uroczystość zapowiadała się odpowiednio do przyjętego zwyczaju. Szczerze wierzący lud, serdecznie miał spotkać swego pasterza. Biskup zapowiedział swój przyjazd na godzinę 10-tą rano. Na oznaczoną też porę, zebrała się nietylko ludność katolicka miejscowa i okoliczna, lecz delegacja od żydów z rabinem na czele, który z chlebem i solą hebrajską mową miał powitać biskupa. Oczekiwanie ciągnęło się nieskończenie długo... O godzinie 1-ej dopiero ujrzeliśmy nadjeżdżającą karetę biskupa, która skręciła jakby chcąc bramę objechać, co okazało się niemożliwem, z powodu zalegającego tłumu ludzi, powozów i koni, zatrzymała się więc przy bramie. Lokaj otworzył drzwiczki, biskup wyjrzał, zawahał się jakby, cofnął, wyjrzał, poraz drugi, a ujrzawszy przystępujących do karety żydów, oraz panów, z chlebem i solą od chrześcian, do pierwszych obrócił się plecami, drugich usuwając ręką na stronę zebrał w obie ręce swe szaty, unosząc je wysoko, i puścił się kłusem ku kościołowi. Wśród zdumionej, nie umiejącej zdać sobie sprawy z tego co zaszło publiczności wyrywały się głosy: „Co zaszło?" „Co się stało?" Biskup biegł pozostawiając za sobą baldachim, księży, dzieci i panny otaczające go wieńcem, pod którym, że mu przeszkadzał, schylił się, przerzucił go sobie przez głowę. Dzieci rozpierzchły się, panny rzuciły wieniec na drodze... Nastrój serdeczny i uroczysty zmienił się w jednej chwili w przygnębiający, prawie żałobny. „Wszystko na nic, całe przygotowanie przepadło" mówiły jakieś babki. Panowie z chlebem i solą zastąpili mu drogę raz jeszcze (najniepotrzebniej) w dziedzińcu kościelnym. Jeden przemówił krótko, biskup coś burknął i poszedł sam dalej. Niepodobna wyrazić zmieszania i przygnębienia żydów, którzy pytali: „Cóż będzie? Co mamy robić dalej?" Doktór miejscowy ratując sytuację, nie zwarzając na nic przemówił do gminy żydowskiej, dziękując za współczucie w imieniu gminy polskiej; przyjął chleb z solą, i w towarzystwie jednego z żydów udał się na plebanję, a składając chleb na stole obok nakrycia biskupa, rzekł do znajdującego się tam lokaja: (nikogo niestety w pokoju nie znalazł) „Proszę powiedzieć biskupowi, że jest to chleb od gminy żydowskiej, którą biskup tak bardzo obraził swoją niegrzecznością". Dobę już całą o niczem więcej nie mówią u nas, jak tylko o niefortunnem powitaniu biskupa. Osoby, wymawiające imię to z największym pietyzmem, złorzeczą mu dzisiaj. Dziewczyna, z zapałem oddająca się pleceniu wianków, ze łzami mówiła ze mną o tem. Jedna z kobiet spotkawszy mię powiedziała: „Ledwie żyję od wczoraj, taki mię żal i wstyd ogarnął. Gdyby to można całemu światu ogłosić, napisać w gazetach, wszyscybyśmy się podpisali." Niektórzy z bratczyków ludzie poważni płakali ze zgrozy. Wszyscy czują się znieważeni — dokoła proszą o korespondencje. Ogólnie powtarzają: „Oby był nie przyjeżdżał — tyle wstydu i upokorzenia wobec innych! Słyszałam znów słowa: „Chyba pogardził nami, żeśmy go nie tak wspaniale przyjeli, jak inne bogate parafje". Przed wyjazdem biskupa ludność się rozeszła.

Kończę na tem — komentarze tu są zbyteczne. Powtarzam tylko głosy pokrzywdzonej w swych uczuciach ludności. Od siebie dodam tylko, że chyba żadna przeciwreligijna propaganda nie może skuteczniej zachwiać autorytetu kleru.

*A. Bachnicka.*

---

# ELEKTRA.

Drezno, w czerwcu 1909.

Po pierwszych przedstawieniach, na które pielgrzymowali z całego świata wszyscy proszeni i nieproszeni opiekunowie sztuki, podawano sobie z ust do ust *bon mot* znanego wirtuoza Henryka Grünfelda: Jeśli już być Ryszardem, to Wagnerem,—jeśli Straussem—to Janem.

Większość słuchaczów uważa wogóle *bon mot* w takich wypadkach za rzecz daleko ważniejszą, niż nowe dzieło sztuki. Nie w krotochwilnej formie, ale ironicznie i zgrzytliwie, wyraził swą krytykę niemniej znany muzyk, Fryderyk Brandes w drezdeńskim „Anzeigerze“. Z całą bezwzględnością, jawnie uznał, że orkiestrowe wyuzdania Ryszarda Straussa są wybiegiem dla ukrycia zupełnego ubóstwa inwencji. Za to magistrat stołecznego miasta Saksonji, szczęśliwy posiadacz „Anzeigera“, zawiesił w czynnościach sprawozdawczych Brandesa, tłómacząc swą uchwałę za wzruszającą otwartością. Ponieważ Drezno jest miastem zamieszkałem w znacznej części przez cudzoziemców, przeto szkodliwem jest dlań takie odzieranie z uroku wielkich festynów operowych. (Przyczynek do niezależności krytyki i wolności słowa w Niemczech).

Dałbym Brandesowi zupełną swobodę harcowania po „Elektrze“. Nie był by on, to znalazł by się kto inny co takim samym tonem przemówiłby. Przy narodzinach dzieł nowych jest wprost przyrodniczo nieuniknionem i psychologicznie koniecznem, żeby ktoś dał koncert płaskości i ograniczoności. Nowe pomysły i śmiałe dzieła zawsze trzyma do chrztu nie sam rozum tylko ale i chamstwo. Ono wyrokuje od jednego słyszenia i gdy łokciem, który mu zdawna nie może zmierzyć nowego tworu, zżyma się i wścieka. W tym względzie zawodowi muzycy nie lepsi są od klubu myśliwskiego, który ongi w Paryżu trąbkami i świstawkami głuszył arcydzieła Wagnera.

Lecz nie chciał bym być przemówionym, że mi znowuż wszelka nowość imponuje. Bynajmniej, nowość nie równa nowości. „Elektra“ ma w gruncie rzeczy tak mało danych po temu, żeby się podobać szerszemu ogółowi jest sztuką tak nie po myśli dzisiejszej teatralnej publiczności, jest tak trudną, ponurą i miejscami monotonną, że instynkt i sympatja artystyczna odrazu stawać muszą po stronie kompozytora, który ma odwagę takie brzemię dźwigać i na tyle niewątpliwej niełaski się narażać.

Albo raczej,—żeby już możliwie blizkim być rzetelnej prawdy—Ryszard Strauss jest nietylko zuchwalcem w twórczości, ale i genjalnym magikiem. Zrozumie go i oceni trafnie ten, co wskaże gdzie się kończy jego artystyczna czystość i absolutna bezinteresowność, a zaczyna magnetyzowanie tłumów przez doświadczonego ich znawcę i kalkulatora „bluffu“. Sam on nazywa się chętnie „Sowiżdrzałem“, psotnikiem, ale chociaż i napisał znakomity poemat symfoniczny „Till Eulenspiegel“—sowizdrzałem tym go nie nazwał. Nie posiada żyłki swywoli i tragicznej pustoty. Jego rysem górującym jest brutalność i drapieżność, nie krotochwilne ale przemądrzałe branie opinji za kark. W nim dyszy szalona ambicja połączona z szaloną, wytrwałą energją. Potrafi zmusić szyderców do milczenia i jeśli nie zdoła nakazać im zachwytu—co mu się pewnie nigdy nie uda to jednak niesamowitą tchnie ich potęgą. Skomplikowaną i tak już machinę orkiestrową w „Salome“—w „Elektrze zwikła i splącze jeszcze więcej, wymusztruje 111 muzyków, da im do rąk nowe instrumenty, rozłoży dawniejsze według swoich zasad, narzuci w malowidle swem jaskrawe barwy i zgrzyty, sypać będzie dysonansami i zgrzytami, umyślnie razić naturalizmem głosów i wokalnych naśladowań, do reszty rozedrze śpiew na strzępy dzikiego krzyku, namnoży perwersyjnych żądz i namiętności — a w ostatecznym rezultacie osiągnie wrażenie niezaprzeczonej pierwszorzędnej mocarności i brzydoty.

Od „Salome" do „Elektry" jest znakomity krok w kierunku artystycznego despotyzmu. Tam była jeszcze wielka poezja tła, środowiska i pejzażu. Egzotyzm wschodu i „białych pawi" Oscara Wilde'a otulał akcję gwiazdzistem ciemno - szafirowem niebem. Piękność św. Jana Chrzciciela i zbrodniczy, demoniczny czar bohaterski składa się na atmosferę straszliwych tęsknot i tęsknot zdławionych; orgje koloru i plastyka tańca zawierały w sobie same przez się śpiew i harmonję, której zupełnie rozedrzeć nie mogły nawet szarpane rytmy i wybuchy orkiestrowego melinitu.

W „Elektrze" już z tego śladu nie zostało. Sceną jest przez cały czas tragedji podwórze kamiennego domu Agamemnona, posępne, ciemno - szare, ledwo ożywione złowieszczo jakimś krwawym odblaskiem zachodzącego słońca lub czerwonemi zasłonami w oknach. Miłośnicą i zbrodniarką jest zabójczyni swego męża i kochanica Aegistosa — nie młoda już, rozpasana Klytemnestra. Sama „Elektra" traktowana przez nią jak suka, jak suka też, szczuta żądzą zemsty, leży w rogu dziedzińca, w „smutnym kącie".

Cała zatruta, zionie jadem nienawiści. Siostra jej, Iurysotemis, nie podziela jej obłędnego gniewu i tragicznego wynaturzenia i jest sobie raczej spragnioną męża i dzieci mieszczką.

Jedyna miłość, którą widzimy na scenie, przedstawia się nam zdala, po przez drzwi i okna sadyby Agamemnona, jako wrzaskliwa, opętańcza i hulaszcza zgraja, pędząca z pochodniami w ręku. Jedyny epizod, który mógłby być słodkim i lirycznym, — chwila, kiedy brat Elektry Orestes, miany za umarłego, w przebraniu przychodzi do siostry, objawia, kim jest i wzbudza przepotężny szał radości; — niebawem wykrzywia się w ból i rozdźwięk. To bowiem nie tyle szczęście, że żyje brat, lecz furja radości, że znalazł się mściciel, który zapłaci za przelaną krew ojca — zamordowaniem matki. Jakoż od tego samego topora ginie Klytemnestra z rąk Orestesa.

Niewysłowiona zgroza tego czynu, rozsroźyła się w szaleńczy taniec Elektry która, zatoczywszy kilka pół-przytomnych wesoło-rozpacznych kręgów, pada martwa.

Katusze, zbrodnia i mordercze sny Klytemnestry, tygrysie łaknienia tkliwości i szpory Elektry, bezlitosne zbliżanie się nowej katastrofy w nieszczęsnym rodzie królewskim, nie mają u Sofoklesa tego realizmu ani tej dekadenckiej bezwzględności. Hugo v. Hofmansthal, autor tej nowej „Elektry", odebrał całej historji jej dostojność mityczną i antyczną posągowość. Spotęgował natomiast domniemanie chorobliwej predyspozycji u Elektry, na tle niezaspokojonych pragnień miłosnych, podkreślił pierwiastek histeryczny, całą psychologię odnowił na modłę naturalistyczną.

Straussowi, wielkiemu epigonowi żyjącemu kwiatami złego, tekst ten musiał być szczególnie miłym i pokrewnym. Woli on dosadność i prostolinijność, lapidarne staczanie się duszy po pochyłości chuci i żądzy, niż katastrofy boskie Wagnera, w których

zawsze jest coś z apoteozy. W tem się właśnie wyraża Straussa stosunek do wielkiego twórcy „Pierścienia Nibelunga” i do idei dramatu myzycznego, że akcję skraca, skupia, koncentruje i zistotnia. U niego nie ma już mowy o szerokich wstępach i inauguracjach zdarzeń, o rozkoszowaniu się wiosną, tryumfem, miłościa, które tak umiłowal epiczny panteista Wagner. Nie komponuje wielkich uroczystości harmonji, lecz dorabia orkiestrowe konwulsje do nagich paroksyzmów duszy kobiecej.

Reformując w ten sposób dramat muzyczny, Strauss o mało co nie zabił muzyki. Jest ona w każdym razie pod ręką jego bliską śmierci.

Po upojenie muzyczne niech nikt na Elektrę nie idzie—bo znajdzie tam zupełnie co innego, jakąś nową kombinację artystycznych środków i niewątpliwie zbliżoną do muzyki, ale bardzo odmienną od całej jej do dnia dzisiejszego tradycji.

Czy ten nowy gatunek, powstały z krzyżowania, kunsztownego i wysilonego, zapuści korzenie głębiej i rozpleni się w drzewo piękne i trwałe—niech rozstrzygają augurowie. Dla mnie jest to jedynie pewnem, że wszystko, co się wyłoniło z potęgi i życia, znajdzie gościnne przyjęcie w świątyni sztuki. Śmiałe nowatorstwa twórcze są jak śmiałe czyny w polityce, jeśli wyszły z wielkiej siły i stanowczości, społeczeństwo przebacza im sposoby i technikę przeprowadzenia.

Straussowi już wiele przebaczono. Smak już się dlań zaczął uspasabiać życzliwie i przywykać do samowoli jego. Kilka takich partji, jak muzyka, towarzysząca przywitaniu się Elektry z Orestesem, albo jak huczące morze dysonansów, ilustrujące śmierć Klytemnestry, tak przemożnie chwytają za gardło, że niejeden bunt musiał ucichnąć.

Niejeden ciężki lub szyderczy zarzut okazał się uprzedzeniem. Muzyczna ilustracja nie jest zgoła nieprzebytym chaosem, jest dość przejrzystą i daje się uwadze doskonale opanować. Za parę miesięcy wyda się—prostą.

Ryszard Strauss jest przebiegłym wodzem. A przytem nic a nic nie bawi się w romantyzm. To podwaja jego i tak już nie byle jaką *wolę* i czyni zdobywczą-strategię. Jeśli Wagner tworzył swój „pierścień“ na temat *klątwy złota*, Strauss—pojmuje doskonale *błogosławieństwo złota*. Wprzód je sobie zapewnił, a potem zaczął dramatowi operowemu dyktować prawa...

*Cez. Jellenta.*

---

## ARYSTOKRATYCZNE HONORARJA.

Stowarzyszenie zawodowe lekarzy polskich—instytucja, jakby się zdawało poważna—ogłosiło świeżo nową taksę honorarjów lekarskich tak niepoważną antispołeczną, i — jak na nasze warunki — przesadnie wysoką, iż niepodobna jest nad kwestją tą przejść do porządku dziennego[1]).

Rozumiejąc to, jak się zdaje, kulturalne stowarzyszenie lekarzy taksę swą zaopatrzyło czemś w rodzaju przedmowy czy odezwy, mającej wytłomaczyć ogółowi, iż takie właśnie postawienie sprawy jest nietylko wskazanem lecz i koniecznem...

W patetycznej tej proklamacji czy też zbiorowej uchwale sofista—autor, czy też autorowie, mówią:

„Stowarzyszenie, wychodzi ze słusznej zasady, że pracy intelektualnej należy się odpowiednie wynagrodzenie i że społeczeństwo, rozumiejące doniosłość tej pracy, dalekiem być winno od jej niedoceniania”...

„Lekarze doskonale rozumieją, że zawód ich jest, bądź co bądź, zawodem sui generis i że z istoty rzeczy mieści się w nim dużo altruizmu, ale żądają, aby to wynikało z ich własnego poczucia obowiązku”..

Myli się jednak stowarzyszenie, sądząc, że tą pięknie brzmiącą odezwą zdołają przekonać publiczność, najzupełniej nieprzygotowaną na tego rodzaju sztuczne podniesienie wartości, oczywiście w materjalnem a nie moralnem tego słowa znaczeniu, skoro nawet i sfery lekarskie poddają ją ostrej krytyce.

Świadczy o tem list otwarty jednego z lekarzy wystosowany pod adresem Stowarzyszenia, w którym to liście autor poddaje ostrej i ironicznej krytyce całą uchwałę „dostojnego ze wszechmiar Stowarzyszenia“.

„Chciałbym jednakże wiedzieć—czytamy—jaka norma i taksa będzie obowiązującą dla ludzi średnio zamożnych, niezamożnych i biednych, którzy niemniej od nas rozumieją ciężar pracy intelektualnej, bo w większości wypadków sami w tym kierunku pracują jednakże w dzisiejszych warunkach nie mogliby w żaden żywy sposób tej normie naszej odpowiedzieć, ponieważ nikt im niestety dotąd nie miał zamiaru za ich pracę w stosunku do nowoprojektowanej taksy odpowiednio wynagrodzenia podnieść!“

Tak mówi lekarz a więc przedewszystkiem zainteresowany w sprawie człowiek, opierający jednak dowodzenia swe nie na jakimś sentymencie zawodowym, lecz na trzeźwem liczeniu się z warunkami chwili.

Bo doprawdy niesposób jest czytać bez uśmiechu na ustach dowodzeń o owym specjalnie lekarskim altruizmie na który odezwa każe powoływać się lekarzom w poszczególnych warunkach...

Nikt nie zaprzecza, że są lekarze altruiści, których ofiarność dochodzi aż do „samopoświęcenia“, podobnie jak są ludzie, pracujący w przeróżnych zawodach, którzy uczucia altruistyczne stawiają ponad wszystko.

Dlaczegóż więc lekarze mieliby być wyłączeni z tej ogólnej zasady?

Skoro w różnych zawodach są pracownicy sumienni i niesumienni, dlaczegóż wśród lekarzy nie miałaby istnieć tego rodzaju klasyfikacja.

Altruizm specjalnie lekarski... Zaprzeczeniem tego może służyć choćby i taki ogólnie znany fakt, że urzędnicy kolejowi, robotnicy fabryczni, wogóle pracownicy instytucji, w których istnieje stała pomoc lekarska, opłacana przez przedsiębiorstwo—zazwyczaj unikają jej starannie... Zrażeni niejednokrotnie „troskliwym“ altruizmem swoich lekarzy w cięższych i niekoniecznie nawet cięższych wypadkach, szukają pomocy u lekarzy obcych, choć narusza to ich budżet domowy...

Jakżeż więc stowarzyszenie lekarskie wysokość norm płatniczych może uzależniać od tak kruchych, spornych i niepewnych podstaw, jak altruizm poszczególnej jednostki.

Jest to przedewszystkiem upokarzającem dla godności ludzkiej, ponieważ w ten sposób zasada wymiany usług sprowadza się do aktu darowizny i jałmużny... a w najlepszym razie jakichś ustępstw filantropijnych...

Niechże mi kto powie, czy człowiek zarobkujący rocznie 1200 a nawet 1.500 rubli, w razie gdy zachoruje on sam, lub ktoś z jego rodziny, może płacić za pomoc lekarską według taksy?

Jak na nasze stosunki, jest to uposażenie już dosyć wysokie równoznaczne pewnemu stanowisku, które zdobywa się całym szeregiem lat uciążliwej pracy, a przeważnie drogą doświadczeń głodowych...

---

[1]) Szczegółową taksę umieszczamy w kronice naszego pisma (Przyp. Red.).

I mimo to *muszę* odwoływać się do ofiarności i wspaniałomyślności pana doktora, będę *musiał* spowiadać się przed nim, że chociaż mieszkam w dwóch pokojach, jednakże nie mogę płacić tyle ile nakazuje mi taksa, gdyż w przeciwnym razie, chcąc zaspokoić apetyt pana doktora ja, człowiek żyjący również z pracy intelektualnej, *musiałbym* odebrać dzieci moje ze szkół.

A cóż dopiero mówić o ludziach gorzej uposażonych? O robotnikach, którym słuszna ambicja nie pozwala poniżać się do prośby.

Oto przykład, do czego doprowadzić może tego rodzaju przewartościowanie, raz jeszcze powtarzam w materjalnem nie moralnem tego słowa znaczeniu.

O tak!.. Sam fakt pojawienia się nowej normy płatniczej, wypracowanej przez ludzi, których zarobki, biorąc na ogół, są conajmniej średnie (2000 — 3000 rubli rocznie) jest w tych ciężkich i przełomowych czasach niezaprzeczonym dowodem altruizmu.

Całe szczęście — iż zabiegi te, prócz pewnego zamętu pojęć, nie mogą mieć praktycznego znaczenia, gdyż muszą się spotkać ze zbiorowym oporem ubogiego i nie mającego czem płacić ogółu.

Zabiegi te pozostaną jedynie biurokratycznym papierkiem, pobożnem życzeniem, smutnem świadectwem wreszcie, jakie wystawili sobie inicjatorzy projektu.

Jeżeli stowarzyszeniu lekarzy idzie o obronę spraw zawodowych, — podniesienie strony zarobkowej młodszych lekarzy to istnieją inne drogi, choćby inicjatywa i propaganda idei kas dla chorych, walka ze znachorstwem i pokątnem lecznictwem, które, dzięki arystokratycznej postawie naszych lekarzy, zabierają im tak wiele praktyki, ku oczywistej krzywdzie zarówno społeczeństwa jak i lekarzy.

*Asper.*

---

## MŁODOŚĆ ROBOTNICY[1].

Większość ludzi wychowanych w normalnych warunkach, w chwilach nieszczęsnych zrządzeń losu wspomina z wdzięcznością i wzruszeniem piękną, szczęśliwą, bez troski minioną młodość i wzdycha z utęsknieniem: gdyby to mogło powrócić!

Wspominam swoje dzieciństwo zgoła z innemi uczuciami. Nie świecił mi ani jeden jasny punkt, ani jeden promień słoneczny, ani miły dom gdzieby miłość i troskliwość macierzyńska uszczęśliwiały moje dzieciństwo—nie był mi znany. A jednak miałam dobrą, poświęcającą się matkę, która odmawiała sobie godziny wytchnienia i spokoju; walczyła z bezustannym brakiem, zawsze czujna i dbała by dzieci swe jak najlepiej wychować i chronić je od głodu. To co wiem o mojem dzieciństwie, jest tak posępne i surowe i tak silnie utrwaliło się w mym umyśle, że nigdy tego nie zapomnę. To co inne dzieci w zachwyt wprowadza i dostarcza im błogiej radości: lalki, zabawki, bajki, łakocie i choinka,—ja tego wszystkiego nie znałam; biegałam tylko po dużym pokoju, w którym się pracowało, spało, jadło i kłóciło. Nie przypominam sobie ani jednego miłego słowa, ani jednej pieszczoty, a tylko strach, kiedy ukryta pod łóżkiem, lub w kącie byłam świadkiem tych scen domowych, gdy matka ojcu czyniła wyrzuty, że przyniósł zamało pieniędzy. Ojciec mój był porywczy, bił wtedy matkę, która często zaledwie na półubrana musiała uciekać do sąsiadów. Przez kilka dni zostawaliśmy sami z rozgniewanym ojcem, do którego nie śmieliśmy się zbliżać. Nie było co jeść, więc wspomagali litościwi sąsiedzi, aż matka powracała, stroskana o dzieci i gospodarstwo. Podobne sceny powtarzały się prawie, co miesiąc, a nawet częściej. Całem sercem skłaniałam się ku matce; ojciec budził we mnie nieokreślony strach i nie przypominam sobie, abym z nim kiedykolwiek rozmawiała.

Pamiętam pewien wieczór Bożego Narodzenia; miałam piąty rok. Tym razem dostałam choinkę. Matka moja pragnęła chociaż raz pokazać swemu najmłodszemu dziecku, a tem byłam ja, co to jest dziecię Jezus. W ciągu tygodni uciułała kilka grajcarów, by mi kupić skromny podarek. Ubrała choinkę różnokolorowemi papierkami, złoconemi orzechami i zawiesiła tanie zabawki Z zapaleniem świeczek czekano na ojca, który poszedł do fabrykanta oddać towar, i miał przynieść pieniądze. Już była 6 godzina, potem 7 i wreszcie 8, ojciec nie zjawiał się. Wszyscy byliśmy głodni i zaczęliśmy jeść. Były ciastka, jabłka i orzechy. Zjedliśmy sami wieczerzę, a potem położyłam się do łóżka, nie czekając już na zapalenie świeczek. Matka była w złym humorze i zakłopotana. Leżałam w łóżku nie śpiąc, tak się cieszyłam myślą, że ujrzę Dziecię Jezusa, a ono nie przybyło. W końcu nadszedł ojciec; nie był mile przyjęty i znów doszło do gwałtownej sceny. Przyniósł pieniędzy mniej, niż oczekiwała matka, po drodze wstąpił do szynku, aby się ogrzać i wypił ponad miarę. Wśród hałasu, napełniającego pokój, słyszałam, jak ojciec rozbił motyką choinkę.

Nie śmiałam krzyczeć tylko płakałam, płakałam dopóki sen mnie nie zmorzył.

Innego dnia w przypływie litości, dał mi ojciec kilka grajcarów, za które kupiłam sobie zabawek. Dobrzy ludzie podarowali mi lalkę i inne zabawki, które dzieciom swym zastąpili piękniejszemi.

Przypominam sobie jeden jeszcze podarunek. W szkole, do której chodziłam była dla biednych dzieci urządzona gwiazdka przez pewnego bogatego pana właściciela wielkiej fabryki, w której pracowało kilkuset robotników i robotnic.

Należałam do tych szczęśliwych dzieci, które były obdarzone łakociami i ubraniem. Jakże wdzięczna byłam temu dobremu, bogatemu panu, który miał tak litościwe serce dla biednych. Aż gdy potem moja owdowiała matka musiała pracować w jego fabryce po 12 godzin dziennie za 3 guldeny, jeszcze nie umiałam ocenić, że w tem właśnie tkwiło źródło jego „wspaniałomyślności".

Później dopiero doszłam do tego przekonania.

*

* *

Ojciec mój ciężko zachorował. Był to dla nas cios. Nie chciał pozostawać w szpitalu, a nie mógł obejść się bez pomocy lekarskiej. Lekarz i lekarstwa pochłaniały prawie wszystko i nasze warunki stawały się coraz gorsze. Za każdym razem, gdy biegłam z receptą do apteki, słyszałam skargę matki: czy to długo jeszcze trwać będzie? Pewnego dnia było już tak źle, że zawezwano duchownego, by ojca wyspowiadał i opatrzył sakramentem. Było to dla mnie wielkiem zdarzeniem. Wszyscy mieszkańcy domu klęczeli w naszym pokoju i my wraz z niemi. Zapach kadzidła napełniał powietrze; łkania mojej matki przerywały modlitwę. W kilka godzin potem skonał ojciec. Matka nigdy zapomnieć mu nie mogła, że umarł, nie pojednawszy się z nią i bez słowa napomnienia dla swych dzieci.

Nie odczuwałam żadnego smutku; przeciwnie, kiedy włożyłam kapelusz z welonem, pożyczony od pewnej zamożnej rodziny, miałam uczucie zadowolenia, że jestem raz tak ładnie ubrana. Matka była teraz żywicielką pięciorga dzieci. Jakkolwiek mój star-

[1]) Jest to skrócony nieznacznie przekład autobjografji, wydanej świeżo po niemiecku i napisanej przez robotnicę.

szy brat miał już 18 lat jednak nie mógł być nam pomocnym, gdyż nauczył się niepraktycznego rzemiosła. Postanowił szukać szczęścia na obczyźnie i wyruszył w świat. Dwaj bracia, którzy do tego czasu pracowali z ojcem w domu wstąpili do terminu, młodszy dziesięcioletni poszedł do szkoły.

Matka moja posiadała dużo siły, wrodzony rozum i usiłowała dowieść, że matka również potrafi wyżywić dzieci. Zadanie jej było bardzo ciężkie, gdyż oprócz robót domowych, niczego innego się nie uczyła. Wcześnie osierocona, mając sześć lat poszła do służby: nigdy nie chodziła do szkoły i ani czytać ani pisać nie umiała. Była też nieprzyjaciółką „nowego prawa", jak nazywała przymusowe nauczanie. Uważała za niesłuszne prawo rozkazywania rodzicom, co mają robić ze swemi dziećmi. Ojciec mój dzielił jej przekonania pod tym względem i bracia już w dziesiątym roku życia musieli mu pomagać w pracy tkackiej. Trzy lata szkoły według moich rodziców powinny były wystarczyć, i kto nie nauczył się do 10-go roku życia ten i potem już się nie nauczy.

Najmłodszy mój brat musiał wystąpić ze szkoły, tymczasem prawo przymusowego nauczania weszło w życie i władza szkolna robiła mu trudności, lecz wreszcie po wielkich zachodach udało się matce wydostać go ze szkoły, i umieścić, jako praktykanta w fabryce.

Po dwóch latach brat już zarabiał; matka była zapracowana od wczesnego rana do późnej nocy. W wolnych od szkoły godzinach musiałam doglądać gospodarstwa i zawczasu wprawiałam się do robót domowych. Byłam dumna z pochwał, któremi mnie darzono, kiedy stałam przy balji, szorowałam podłogę, lub obierałam kartofle. Starałam się być pomocną matce, która była przez wszystkich szanowana. Jej pilność, bezustanne zabiegi, by zapewnić sobie i dzieciom egzystencję, były powszechnie uznawane. Ale niebawem zmieniło się na gorsze.

Wybuchło ogólne bezrobocie, które dotknęło również matkę i braci. Dla dopełnienia nieszczęścia młodszy brat potknął się tak nieszczęśliwie, że musiał pójść do szpitala, gdzie prawie dwa lata chorował. Tak mało mogliśmy mu pomagać i to nas tylko pocieszało, że niektórzy znajomi współczuli jego nieszczęściu i suto go obdarzali. Miał 15 lat, kiedyśmy go pochowali.

Bezrobocie ciężko nas dotknęło, nikt w rodzinie nie zarabiał i nadzieja, że spadnie śnieg, przy uprzątaniu którego można będzie cokolwiek zarobić, nie spełniała się. Dla mnie ośmioletniej znalazła się wreszcie praca. Wracając z oddalonej od domu szkoły wiejskiej zachodziłam jeszcze do pewnego chałupnika, gdzie szyłam guziki. Zostawałam tam do 9 wieczorem; potem kiedy już się wprawiłam, zabierałam robotę do domu. Zarabiałam zaledwie kilka grajcarów, ale i to znaczyło wiele przy naszej biedzie. Matka nie szczędziła pracy i starań, aby zarobić, ale prócz chorego brata było jeszcze pięć osób, które cierpiały głód. W Nowy Rok odwiedzałam bogatych ludzi w miejscu i w okolicy; składałam życzenia noworoczne, za co otrzymywałam podarki. To samo czynili i inni biedni ludzie i często zdarzało się, że gdy podchodziłam do drzwi, już inne dziecko stamtąd odchodziło. Z zebranych z tej wędrówki pieniędzy opłacono zaległe komorne.

Oto wspomnienia mego dzieciństwa i bez przesady mogę powiedzieć: ani jeden jasny punkt, ani jeden promień słoneczny nie rozjaśniły mi tych dni.

(D. c. n.)

# KRONIKA.

— Wyrok w sprawie Włocławskiej i Lubranickiej Organizacji P. P. S: uniewinniono 12 oskarżonych, skazano na śmierć 6, pozostałych — na zesłanie na osiedlenie lub ciężkie roboty od 4—15 lat.

Treść wyroku: na śmierć przez powieszenie: Stefan Kowalski, Karol Borowski, Władysław Ulaszewski, Franciszek Olejniczak, Walenty Jasiński, Adam Skupiewski.

Na ciężkie roboty na lat 15 — Józef Piątkiewicz, na lat 10 — Leon Hora, na lat 4: Ignacy Otocki, Stanisław Nawrocki, Franciszek Laskowski, Józef Jankowski, Władysław Hanke, Szczepan Tuniszewski, Józef Tretyń, Feliks Kadymowski.

Na zesłanie: Mateusz Musialski, Michał Matuszczak, Michał Pawlak, Stefan Osuchowski.

Uniewinnieni: Adolf Lipczewski, Szczepan Nadrowski, Jan Grabowski, Józef Byliński, Sebastjan Stefański, Hipolit Pałasz, Marjanna Wiśniewska, Stanisław Łukomski, Franciszek Federowicz, Władysław Gączewski, Jan Łęgowski, Bohdan Kowalewski, Jan Magnutow nie osądzony z powodn choroby*).

— W sprawie wykrycia drukarni P. P. S. w Warszawie przy ul. Żelaznej № 29. Skazano Szuberta i Adamską na osiedlenie, Szapirę i Kukulskiego uniewinniono. Wajnberg jako zdradzający objawy rozstroju umysłowego został oddany pod obserwację psychjatrów.

— Zmarł w Warszawie Jan Kreczmar w wieku lat 31 kierownik 8-o klasowej szkoły filologicznej, popieranej przez Tow. Kultury Polskiej. Śmierć jego wywołała szczery i głęboki żal w kołach inteligencji warszawskiej.

— Biografja Hartinga — Landesena — Heckelmana — prowokatora trzech o może więcej nazwiskach, obfi-tuje w ciekawe szczegóły:

Kształcił się w uniwersytecie dorpackim, ale w r. 1884 wyjechał już stamtąd, podejrzewany przez rewolucjonistów o stosunki z policją.

Ukazał się potem dopiero po r. 1888, gdy postanowiono zlikwidować ostatecznie partję „Narodnej woli".

Pojawiła się ta zagadkowa postać naprzód w Genewie, a potem w Paryżu, gdzie też Landesen odrazu zdobył sobie zaufanie śród rewolucyjnej młodzieży. Śród tej ostatniej panował wówczas nastrój bojowy. Landesen zorganizował grupę terorystyczną. Dokoła niego zgromadziło się 10 ludzi, Landesen starał się przyciągnąć do siebie jaknajwięcej ludzi, przyczem zaopatrywał ich w gotowiznę. Na naradach występował zawsze jako zwolennik systematycznego teroru i domagał się przejścia „od słów do czynu".

Wkrótce po powstaniu grupy terorystycznej stronnicy jej posłali Landesena do Rosji dla rokowań i utworzenia organizacji rewolucyjnej w Rosji. Landesen wydał wszystkich z pośród działaczy rewolucyjnych w Rosji, kogokolwiek tylko widział. Właśnie podczas powrotu jego do Paryża, wszyscy zostali aresztowani w Rosji, a on sam tracił dotychczasowe zaufanie śród rewolucjonistów.

W całej kolonji wychodźców rosyjskich krążyły podówczas pogłoski, że w laboratorjum Landesena są bomby na składzie, które też się tam wyrabia. Otóż kierownik tego laboratorjum skończył odrazu z całą grupą i wydał nietylko wszystkich jej członków, lecz i niewinnych zupełnie socjal-rewolucjonistów K. i S. i medyczkę P., u której znaleziono pociski, umieszczone u niej bez jej zgody i wiedzy.

Jednocześnie rozpoczęły się też rewizje u rosjan, a w gazetach francuskich d. 29 maja r. 1890 wieczorem ukazały się komunikaty donoszące, jakoby władze rosyjskie otrzymały wiadomość o przygotowanym przez rewolucjonistów rosyjskich zamachu na cesarza Aleksandra III.

Znana w kołach wychodźców rosyjskich pani G. przytaczała na dowód, że Landesen jest prowokatorem, telegram

*) W ostatniej chwili dowiadujemy się o zmianie wyroków w sprawie bojówki Włocławskiej i w sprawie drukarni „Robotnika" (patrz na ostatniej stronicy).

do niejakiego K. i S., w którym Landesen przeprasza, że przyjść nie może.

Pani G. widziałała w tym telegramie wybieg ze strony Landessena na wypadek, gdyby go podejrzewać miano o zdradę. Sam fakt doręczenia telegramu właśnie wówczas, gdy policja przejmowała wszystkie listy i depesze do niej adresowane, utwierdzał w tem przekonaniu.

Wkrótce potem stwierdzono, iż o istnieniu mieszkania, w którem wyrabiano pociski, wiedział tylko Landesen. W kołach francuskich wówczas zaczęło się poruszenie i w celu obrony aresztowanych utworzył się umyślny komitet.

Komitet ów postanowił sprawę zbadać, wyświetlić wszystkie jej szczegóły, wykryć winnych, skupić w jedną całość obronę uwięzionych. Obrońcy-francuzi zrzekli się należności za obronę. Wówczas to na rozprawie sądowej ustalono, że Landesen pociągnął przed kratki sądowe ludzi, zupełnie do ruchu rewolucyjnego nie należących. Sąd uznał jego winę i skazał go na 5 lat więzienia. Kary jednak podsądny nie odbył, umiał bowiem zbiedz przed wykonaniem wyroku.

— W 1907 r tytułem nagrody za urzędowanie w Swinemünde Landesen otrzymał rangę kapitana. Policja pruska znała już dobrze naówczas Hartinga i niechętnie spoglądała na niego. To też czuwała nad Hartingiem i kontrolowała go na każdym kroku. Dla zdyskredytowania rewolucjonistów rosyjskich za granicą nie chciała policja pruska dyskredytować siebie.

Harting, jako szef tajnej policji, miał pod sobą legjon donosicieli, a działalność jego obejmowała Szwajcarję, Włochy, Niemcy, Anglję, Szwecję. a zwłaszcza Francję. W znanej sprawie wydalenia ze Szwecji rosyjskiego rewolucjonisty Czerniaka, a następnie otrucia go na okręcie, pomocnikiem Hartinga był szef policji w Stokholmie, Stendhal.

W Brukselli mieszkał Harting w arystokratycznej dzielnicy, a w prefekturze był zameldowany jako generał i radca stanu. Niedawno zażądał Harting od policji brukselskiej ażeby jego adresu nikomu pod żadnym pozorem nie udzielała, gdyż nagabują go ajenci policji rosyjskiej z Paryża. W roku 1894 mieszkał Harting w Leodjum, gdzie uchodził za miljonera. Tutaj ożenił się z panną Tirlot Dnia 8 b. m. opuścił Brukselłę i udał się podobno do Niemiec. Ludność Brukseli oburzona jest z tego powodu, że rząd tolerował jego obecność.

Śledztwo urzędowe, zarządzone w Paryżu przez prezesa gabinetu Clemenceau, nie objęło materjału dowodowego, będącego w posiadaniu Burcewa, który nie wydał z rąk jeszcze żadnego dokumentu. Ale rząd francuski ma tyle dowodów, że współpracownictwo Burcewa jest mu zbyteczne. Rewelacje Burcewa obejmują całokształt działalności rosyjskiej policji tajnej w Paryżu. Burcew codziennie czekał na pociągi przychodzące z Rosji, któremi przybywali rosyjscy policjanci i po przybyciu pociągu fotografował potrzebne mu osoby. Policjanci nie przeszkadzali mu. Burcew oświadczył, że poda do wiadomości publicznej cały szereg wypadków, w których policja francuska do spółki z ajentami policji rosyjskiej przedsiębrała rewizje domowe. Świeżo wystąpił z oskarżeniem policji rosyjskiej o pogwałcanie praw francuskich i założenie w ambasadzie rosyjskiej w Paryżu gabinetu czarnego w celu odczytywania listów, pisanych przez rosyjskich emigrantów politycznych, albo też adresowanych do nich.

— Nowe normy wynagrodzeń lekarskich, uchwalone na zebraniu „stowarzyszenia lekarzy polskich" w dniu 30 czerwca roku bieżącego:

1) Za pierwszą wizytę u chorego w obrębie miasta Warszawy od 8 rano do 8 wieczorem najmniej rub. 3, za każdą następną najmniej po rub. 2; w obrębie dwóch wiorst za rogatkami taksa podwójna.

2) Wezwanie od 8 wieczorem do 8 rano najmniej rubli 5.

3) Za leczenie jednocześnie kilku chorych w jednem mieszkaniu od każdego następnego chorego, jak za poradę u lekarza w domu t. j. za pierwszą poradę rub. 2, za następne po rub. 1.

4) Za wyjazd poza określone w § 1 granice cena według umowy.

5) Za dyżur przy chorym po rub 50 za każde 12 godzin.

6) Za konsultację z jednym lub kilkoma lekarzami najmniej po rub. 6 dla każdego lekarza.

7) Za konsultację nocną najmniej po rub. 10.

8) Za poradę u lekarza w domu: za pierwszą najmniej rub. 2, za następne najmniej po rub. 1.

9) Za wskazówki lecznicze, udzielane przez telefon, jak za poradę u lekarza w domu t. j. najmniej po rub 1.

10) Za listy obszerniejsze w sprawie chorego po rub. 5, za dokumenty i świadectwa lekarskie wedle umowy.

11) Za przyjmowanie chorych we wszelkich ambulatorjach, nie wyłączając filantropijnych, po rub. 3 za godz; o ile ambulatorjum jest poza miastem. lekarz ma prawo doliczać sobie koszta przejazdu

12) Za wszelkie zabiegi lekarz ma prawo liczyć sobie honorarjum oddzielne.

Zalecono lekarzom przedstawienie pacjentom rachunków na specjalnych blankietach. wydanych nakładem Stowarzyszenia.

— W sprawie zakazu kardynała Puzyny złożenia zwłok Juljusza Słowackiego na Wawelu otrzymaliśmy w dalszym ciągu rezolucje od „Polskiej czytelni akademickiej w Darmsztacie" i od „Stowarzyszenia Polskiej Mł. Postępowej „Concordja" w Lipsku.

W Wiedniu odbył się wiec polski przy udziale 300 osób. Po wysłuchaniu referatu p. Einfelda, przemówień p.p. Terakowskiego, Strzeleckiego, Kłoskowskiego i Leśniewskiego przyjęto uchwałę, piętnującą postępek kardynała.

## WIADOMOŚCI BIBLJOGRAFICZNE.

(Książki nadesłane do Redakcji „Społeczeństwa").

*Antoni Szech.* Katolicyzm a polskość. Warszawa 1909.

*Jerzy Kurnatowski.* Doktryny ekonomiczne. Warszawa. Ludwik Biernacki 1909.

*Antoni Szech.* O całość duszy ludzkiej. Warszawa 1909.

## ODPOWIEDZI OD REDAKCJI:

*P. S. L.* Druk powieści „Metropolis" ukończony został w № 25.

## ZMIANA WYROKÓW.

W sprawie 32 członków włocławskiej organizacji P. P. S. generał-gubernator złagodził wyroki śmierci, zamieniając Władysławowi Ulaszewskiemu i Adamowi Skupniewskiemu karę śmierci na bezterminowe roboty ciężkie; — Karolowi Borowskiemu i Wincentemu Jasińskiemu—karę śmierci — na 20 lat robót ciężkich;— Stefanowi Kowalskiemu i Franciszkowi Olejniczakowi — na 15 lat robót ciężkich; — Józefowi Piątkiewiczowi zmniejszono karę z 15 lat katorgi na 10 lat;— Leonowi Horowi — z 10 na 5 lat katorgi. Wreszcie aptekarzowi z Lubrańca, Feliksowi Kodymowskiemu 4 letnią katorgę zamieniono na osiedlenie.

Pozatem co do innych oskarżonych wyrok zatwierdzono.

W sprawie drukarni „Robotnika" skazanym na osiedlenie: Stanisławie Adamskiej i Stefanowi Szubertowi zamieniono karę na 3 lata twierdzy — z zaliczeniem czasu, przepędzonego już w więzieniu podczas śledztwa pierwiastkowego (tj. około 2 lat).

Redaktor i wydawca **Władysław Gacki.** Drukarnia Artystyczna K. Kopytowskiego Nowy-Swiat 47.